



Ingerencja człowieka w środowisko naturalne (już niedługo nikt nie będzie wiedział jak ono pierwotnie wyglądało) doprowadziła na przestrzeni wieków do utworzenia tak nienaturalnych tworów, jakimi stały się miasta. Z punktu widzenia przyrody nic, co znajduje się w mieście nie jest naturalnym. Jednakże człowiek zabrnął już tak daleko w tej ingerencji, że całkowita naprawa tego, co zostało zepsute jest niemożliwa. Są to tzw. zmiany cywilizacyjne.

Granica

No i cóż musimy ponosić konsekwencje tych zmian cywilizacyjnych, ale czy dajemy sobie z tym radę? Okazuje się, że niestety nie. Ludzie podzieliłi się na zdeklarowanych „urbanistów” i zagorzałych „ekologów” oraz - oczywiście - „niemą większość”, która nie zabiera głosu i nie udziela się w bezpośrednich działaniach, ale często ma swoje zdanie i wyraża je w zacisznych kąciach swoich prywatnych pieleszy.

Na przykładzie miejskich kotów i gołębi można prześledzić jak różne grupy społeczne postępują zarówno w stosunku do zwierząt, jak i w stosunku do własnego środowiska. I tak, „urbanisci” bez względu na konsekwencje rozwijają cywilizację, niszcząc naturalne warunki bytowania zwierząt, bo czyż ptaki będą mogły robić swoje gniazda na betonowych słupach zamiast na drzewach? W efekcie gołębie zakładają gniazda na balkonach, parapetach, egzystują na pomnikach, gzymsach powodując zanieczyszczenie wszystkiego, co wokół nich. Pamiętać też należy o możliwości przenoszenia i roznoszenia chorób zakaźnych i pasożytniczych przez wolno żyjące zwierzęta.

Z drugiej strony „ekolodzy” starają się ptaki w miastach dokarmiać, udzielać pomocy medycznej, czy wręcz budować im schronienie. Czasami kłóci się takie postępowanie z dobrem naturalnym i biologiczną walką o byt, dając możliwość nie tylko przetrwania, ale i rozmnażania się, a co za tym idzie przekazywania materiału genetycznego - niekoniernie pełnowartościowego - następnym pokoleniom, niestety słabszym, zdegenerowanym i jeszcze słabiej dostosowanym do warunków bytowania. Gdzie więc jest granica do jakiej możemy się zbliżyć, by z jednej strony zapewnić ptakom w mieście bezpieczne warunki bytowania, a z drugiej, bezpieczeństwo i higienę (czystość) ludziom gospodarzom i twórcom tego dziwłoga ekologicznego, jakim stały się miasta.

Podobnie jest z bezdomnymi kotami. Jest ich w miastach i okolicach bardzo dużo, a to chociażby z powodu dostępności do pokarmu, który jest jednym z elementów regulujących populację zwierząt na danym terenie. Ale koty, które pomagają człowiekowi w deratyzacji, nie są skazane tylko na to, co upolują. Ludzie dokarmiają koty w piwnicach, ogródkach, na skwerkach itp. Jest to odruch szlachetny, ale też naruszający naturalny, biologiczny rytm przyrody.

W pewnym momencie sami tworzymy błędne koło, gdyż sztucznie przez nas utrzymywana ilość gołębi czy kotów nie jest w stanie sama zdobyć odpowiedniej ilości żywności, więc tym bardziej skazane są na człowieka. Ale to doprowadza do niekontrolowanego zanieczyszczenia

przez te zwierzęta naszych ulic, skwerków, piwnic. Zanieczyszczenie takie może być niebezpieczne dla naszego zdrowia, gdyż naraża nas na pasożyty wewnętrzne (glisty, tasiemce) oraz zewnętrzne (pchły, wszoły, świerzbowce), ale także bakterie, grzyby, a nawet schorzenia alergiczne.

Wszystkim, którzy chcą zajmować się dzikimi, czy wolno żyjącymi zwierzętami w miastach polecam zapoznanie się chociażby z podstawami biologicznej egzystencji tych zwierząt, a także zachęcam do wyrozumiałości dla tych, którzy chcą więcej czystości w swoim otoczeniu. „Urbanistów” zaś proszę o wyrozumiałość dla ekologicznych poczynań zwolenników dokarmiania i opiekowania się już mało samodzielnymi „dzikimi” zwierzętami.

Prawdopodobnie „granica”, o której myślę leży w każdym z nas, tylko zapewne na różnych półkach...

lek. wet. ANDRZEJ ALWEIL

